

Zapis relacji Barbary Skargi zamieszkałej w Warszawie przy ul. Marszałkowskiej 111a/913. — *nagrane przez Krzysztofa Tarkę*

W momencie zamknięcia Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie / 15 XII 1939r. /, którego w owym czasie byłam studentką, zebraliśmy się grupa młodzieży studenckiej próbując w jakiś sposób ratować kolegów i koleżanki, którzy pozostali poza uczelnią. Uniwersytet przejęli Litwini. Myśmy stosowali pełny bojkot uniwersytetu. Chodziło o dwie rzeczy, o organizację studiów dalej już "pod ziemią" i ewentualną pomoc materialną, zwłaszcza jeżeli chodzi o studentów, którzy dotychczas otrzymywali stypendia, czy mieszkali w domach akademickich a w tej chwili znaleźli się bez dachu nad głową i obecnie nie mieli możliwości utrzymania. Spotkania nasze odbywały się jeszcze w grudniu 1939r. a następnie w styczniu 1940r. Była to pierwsza taka praca, w której krótko brałam udział. Przy pomocy rozmaitych ludzi udało się wówczas zorganizować w Wilnie coś co się nazywało Bratnią Pomocą. Działała ona również już wcześniej, jeszcze przed wybuchem wojny. W tej chwili zaczęła ona znów działać jako pewna organizacja charytatywna. O ile sobie dobrze przypominam jedno duże zebranie Bratniej Pomocy odbyło się u nas w domu. Był wtedy tam Kazimierz Ginko lekarz, wówczas jeszcze student medycyny, był Olek Czyżewski i cały szereg innych osób. Udało się nam zebrać trochę ludzi i zorganizować Bratnią Pomoc w warunkach panowania litewskiego w Wilnie. To był mój pierwszy kontakt i później nie brałam już w tym udziału. Bardzo szybko wciągnięto mnie do prowadzenia tajnego nauczania. Bratnia Pomoc <sup>1940</sup> działała na terenie Wilna już po zamknięciu Uniwersytetu. Miała charakter półlegalny. <sup>(nawet podziemny)</sup> Od lutego-marca 1940r. wobec szerokiej akcji litwinizacji szkolnictwa na Wileńszczyźnie bardzo wiele osób zabierało swoje dzieci ze szkół. Wtedy też zaczęło się organizować szkolnictwo podziemne. Pamiętam doskonale, że uczyłam dzieci chyba z trzeciej, czwartej czy piątej klasy szkoły podstawowej jeszcze za czasów litewskich. Nie była to jednak jeszcze akcja na większą skalę. Szersze działanie rozpoczęło się po ponownym wejściu do Wilna sowieckich wojsk i utworzeniu sowieckiej republiki litewskiej. Tajne nauczanie prowadzili i inspirowali przede wszystkim byli nauczyciele

le. Z chwilą nastania sowieckiej litwy szkoły ponownie były wielojęzyczne, wrócił do szkolnictwa ponownie język polski. Skończył się też okres ostrej litwinizacji, jaka była w początkowym okresie. Tajne nauczanie języka polskiego nie było już, potrzebne. Pamiętam, że po paru miesiącach przestałam też prowadzić podziemne nauczanie. Nie było ono już potrzebne, gdyż naukę języka polskiego można było już prowadzić oficjalnie i legalnie. Szkoły podstawowe jeszcze za czasów sowieckiej Litwy jeszcze w jakiś sposób funkcjonowały.

Gdy przyszła sowiecka <sup>Litwa</sup> ~~Rosja~~ - muszę powiedzieć, że był to okres łatwiejszy, łatwiejszy ale tylko pod względem kulturalnym i naukowym, były natomiast ogromne areszty. Cały szereg osób już na jesieni 1940r. poszło do więzienia. Aresztowano wielu ludzi, którzy wcześniej brali aktywny udział np. w Bratniej Pomocy, czy też osoby, które już wtedy próbowały organizować jakiś opór wojskowy m.in. Stefana Czernika i cały szereg innych osób. Ja nie miałam z nimi bezpośredniego kontaktu. Znałam i miałam kontakt ze Stefanem Czernikiem, gdyż on był szwagrem mojej rodziny, ale wtedy nie brałam udziału ani nie orientowałam się w sprawach organizacyjnych. O początkach konspiracji wojskowej w Wilnie nie mogę więc nie powiedzieć. Przez cały ten czas działało w Wilnie tajne wyższe szkolnictwo. Ja w tym czasie intensywnie uczyłam się na tajnych kompletach. Odbywały się tajne wykłady, seminaria. Tajne komplety prowadzili profesorowie byłego Uniwersytetu Stefana Batorego, przede wszystkim profesor ~~Jan~~ <sup>Tadeusz</sup> Cyszkowski, do którego chodziłam na seminarium. Ja studiowałam filozofię, ale na to seminarium chodzili nie tylko studenci filozofii, ale i poloniści. Drugi profesor Henryk Elsenberg, prowadził wykłady z estetyki i etyki. Również chodziłam na jego wykłady. Zdawałam u niego egzaminy. Wszystko to było bardzo sympatyczne, były to jednocześnie kontakty towarzyskie i bardzo bliskie. Profesor Konrad Górski, profesor Stefan Srebrny, do którego właściwie przez całą okupację chodziłam na wykłady z filologii klasycznej. Wśród nas byli tacy zdolni ludzie jak np. Ludwik Fryde, który potem zginął rozstrzelany przez Niemców, jak Edward Czat, po wojnie przez dłu-



gie lata był redaktorem pisma "Teatr". Siedź podziemnego uniwersytetu była bardzo gęsta. <sup>(pobyt, przyrodniacy)</sup> Rajne nauczanie na szczeblu uniwersyteckim działało niemal natychmiast od chwili zamknięcia Uniwersytetu przez cały czas okupacji. Tylko medycyna stanowiła wyjątek w tajnym nauczaniu. Pomieważ niezbędny był dostęp do laboratoriów jeszcze w końcowym okresie działania Uniwersytetu Stefana Batorego profesorowie uczelni wraz ze studentami postanowili, że wszyscy studenci medycyny zapiszą się na legalnie działający Uniwersytet w Kownie. W Kownie a nie w Wilnie. Wileński uniwersytet litewski był przez Polaków całkowicie bojkotowany, tak przez profesorów jak i przez studentów. Studenci medycyny pojechali więc uczyć się do Kowna na tańszym uniwersytecie, który zawsze był litewski, a nie zostali w nowoutworzonym uniwersytecie litewskim w Wilnie. Litwini byli szalenie dotknięci tym, że cała profesura Uniwersytetu Stefana Batorego bojkotowała nowy litewski uniwersytet w Wilnie i nie chciała uczestniczyć w wykładach. Powstała też cała podziemna szkoła teatralna. Jej działanie w szczególny sposób wiązało się z moimi wspomnieniami, gdyż większość wykładów szkoły teatralnej odbywała się u nas w domu /a to ze względu na moją siostrę/. Z tej szkoły wyszli m.in. Ant Smiałowski, moja siostra, Marysia Kościakowska i cały szereg innych osób, które dzisiaj pracują na polskich scenach. Zresztą szkoła teatralna była świetnie pomyślana. Miała o wiele więcej przedmiotów teoretycznych niż prowadzone dzisiaj w szkołach teatralnych, a to chyba ze względu na to, że nikt się nie spieszył, mieliśmy czas. Można było o wiele szerzej studiować historię teatru greckiego, czy historię dramatu w ogóle. Wykładali tam również profesor Elzenberg, profesor Srebrny. Bardzo żywy i aktywny udział w szkole teatralnej brał profesor Szeligowski, jego żona pani Szeligowska, Szpinalski, Orda /historyk sztuki/ i wielu innych. Tyle może o tym szkolnictwie, w którym ja brałam udział jako słuchacz. Byłam również członkiem Towarzystwa Filozoficznego, którego zebrania odbywały się w okresie wojny regularnie. Wszystko to trwa

do wejścia Niemców. Właściwie dopiero w momencie wejścia Niemców rozpoczęło się podziemne życie konspiracyjne o charakterze wojskowym. Pierwszą pracą jaką się w konspiracji zajmowałam było to co później nazywało się kancelarią. Odbywało się to u nas w domu. Moja matka, ja i jeszcze jedna pani dostawaliśmy szyfry, które przychodziły z Warszawy. Nocami pracowałyśmy nad ich rozszyfrowaniem. Była to robota <sup>5</sup>miertelnie nudna. Trwała ona kilka miesięcy i byłam szczęśliwa jak nam ją zabrano. Była to straszna robota, to siedzenie po nocy. Ja prosiłam Stefana ~~z~~ Czernika żeby mnie wciągnął do czegoś a on mnie dawał tylko jakieś doraźne zadania. Jeździłam gdzieś do Oran, gdzie mnie mało Niemcy nie złapali, nie wiem nawet po co, bo przecież łącznikowi tego się nigdy nie mówi. Trudno mi nawet powiedzieć jak to układało się w jakiejś całości, gdyż były to zajęcia doraźne. Było to jesienią 1941r.

Od września 1941r. wszystkie polskie szkoły podstawowe i gimnazja zostały zamknięte. Wobec tego ~~na~~ niebawem pełną parą poszło tajne nauczanie. Do tajnego nauczania, do prowadzenia lekcji potrzeba było bardzo dużo ludzi. Ja byłam już zaangażowana w tajne nauczanie od początku, od września 1941r. Uczyłam fizyki, matematyki, łaciny. Praca była bardzo wyczerpująca, gdyż jednego dnia miałam chyba np. pięć grup. Miałam klasy licealne, gimnazjalne. <sup>1 m. od kwe</sup> Część klas miałam w jednej dzielnicy, w dzielnicy Kalwaryjskiej. Lekcje wyglądały w ten sposób, że przechodziło się z mieszkania do mieszkania po skończeniu jednej lekcji. Trzeba było być ostrożnym przy przechodzeniu by ktoś nie zauważył i nie śledził. Obawialiśmy się przede wszystkim Litwinów a nie Niemców. Niemców to mniej obchodziło. Niemcy nie mieli również takiej jak Litwini możliwości wejścia w społeczeństwo polskie. Litwinów należało się obawiać. ~~W mojej pracy, wykłady~~  
~~przez cały rok 1942r. Pamiętam, że już w 1943r. nie miałam już~~  
czasu wykładać. Pamiętam jak mówiłam profesorowi Czyżowskiemu, że już nie daję rady. Nie starczało mi czasu ani siły by w 1943r. pełnić jednocześnie swoje obowiązki w łączności i pracować jako nauczycielka. Szkolnictwo pod



ziemne w Wilnie było rozwinięte ogromnie i zorganizowane wspaniale. Dział-  
kało na bazie szkół, które istniały przed wybuchem wojny. Brali w nim  
udział nie tylko nauczyciele, ale także zdolniejsi studenci do których  
miano również zaufanie. Funkcjonowało to wszystko jak w zegarku. Włącznie  
z maturami. Pamiętam matury z matematyki, fizyki. Ja podlegałam grupie,  
której przewodziła nasza była dyrektorka gimnazjum pani Janina Bohdano-  
wiczówna. Na temat zorganizowania tajnego szkolnictwa, ofiarności ludzi  
i na temat tego jak się uczyła młodzież możnaby napisać całą książkę.  
Młodzież uczyła się znakomicie. Nie było mowy o tym żeby ktoś nie odrobił  
lekcji. Młodzież, która od pierwszej klasy chodziła na tajne komplety  
miała ogromne poczucie odpowiedzialności, nie było żadnych kłopotów pe-  
dagogicznych. Ktoś mógł mieć trudności, ale na pewno wkładał maksimum  
pracy. To była inna szkoła, szkoła nieprawdopodobnej odpowiedzialności  
młodzieży. Było to coś fascynującego. Brałam w tym udział bardzo długo :  
1942, 1942, 1942 na 1943, ~~1943~~ już w 1943 na 1944 nie miałam na to  
czasu.

Wracając do spraw łączności to po tych skropnych szyfrach i doraźnych  
"wycieczkach" czy zadaniach związanych ze Stefanem Czernikiem zostałam  
niespodziewanie przez tegoż Stefana Czernika przydzielona do Zosi Dąb-  
Biernackiej, która była moją koleżanką szkolną, myśmy były z jednej klasy  
i znałyśmy się doskonale. i w ogóle przyjaźniłyśmy się. Było to chyba na  
wiosnę 1942r. Zosia oddała mi przyjmowanie łączników przybywających do  
komendy okręgu wileńskiego AK z Warszawy. Tu już była organizacja bardziej  
typu wojskowego. Dostałam już dwie łączniczki, nie znałam ich ~~imion ani~~  
nazwisk, zresztą do dziś ich nie znam. Było parę adresów gdzie łącznicy  
z Warszawy przyjeżdżali, te adresy dostawali już w Warszawie. Przyjeżdżali  
najczęściej jako żołnierze niemieccy w mundurach. Czasami były to kobie-  
ty, niby Niemki. Byli to ludzie świetnie mówiący po niemiecku. Dysponowa-  
li papierami niemieckimi, albo papierami volksdeutschów lub reichsde-  
utschów czy urdeutschów /czyli dawnych Niemców/. Jeździli zawsze w nie-

mieckich wagonach. W tym czasie nie było na Wileńszczyźnie komunikacji osobowej, publicznej. Nie można było kupić biletu na pociąg osobowy. Jeśli się jeździło to pociągami towarowymi, lub trzeba było mieć specjalne przepustki. Inaczej do pociągu nie można było się dostać. Gdy jeździłam do Oran to też pociągami towarowymi, <sup>albo wózek na zderzaku</sup> kasa biletowa na dworcu kolejowym była tylko dla Niemców. Dlatego przez to poruszanie się po terenie, wszelkie jazdy były niesłychanie utrudnione. Ci ludzie, którzy przyjeżdżali mieli doskonałe niemieckie papiery. Zjawiali się w Wilnie na odpowiednie adresy. Takich adresów ja miałam trzy. Adresów ja nie dobierałam, dawano mi je. Gdy przyjeżdżał łącznik to gospodarz takiego adresu musiał pójść i na jakimś płocie, który był umówiony postawić np. w kółku krzyżyk a na górze numer i nie więcej. Ja miałam specjalnego łącznika, który nie innego nie robił tylko chodził oglądać te płoty, czasami nie były to płoty a np. klatka schodowa domu w którym mieszkał jakiś lekarz czy dentysta, gdzie przewijało się dużo ludzi i było dużo różnych <sup>brzydluch</sup> napisów i wśród tych napisów można było umieścić kółeczko z krzyżykiem czy inny znak. Każdy miał swój znak. Łącznik, którymi obchodził codziennie ileś takich miejsc i nie innego nie robił, był niezwykle zmęczony. Nie wiedział nawet po co chodzi, ale musiał chodzić codziennie by wiadomość dotarła do mnie jak najszybciej. Przy tym on się ze mną nie komunikował, nie o mnie również nie wiedział. Jeżeli znakiem na płocie był np. krzyżyk to w innym miejscu stawiał taki sam krzyżyk i dopiero moja łączniczka, która już mnie znała, chodziła oglądać te drugie miejsca. Czyli było to kompletne odcięcie. Pociąg z Warszawy przyjeżdżał do Wilna o najgroźniejszych porach dlatego ten pierwszy łącznik obchodził miasto dwa razy dziennie. Podobnie musiała czynić i druga łączniczka. Proszę sobie wyobrazić, że chodzi się tak przez miesiąc, deszcz nie deszcz, śnieg nie śnieg i co za śmiertelna nuda. Jednak nikt mnie nigdy nie zawiadł, mimo tej śmiertelnej nudy. Łączność to nuda na to żeby działała znakomicie. Znak na płocie z takim a takim numerem oznaczał przyjazd kuriera z Warszawy i gdy meldowały mi o tym moja łączniczka to ja już wiedziałam gdzie on się



znajduje. Na adres gdzie znajdował się kurier z Warszawy udawałam się z osobiście. Znajac alarmowe znaki sprawdzałam jeszcze czy wszystko jest w porządku i tego samego dnia, najwyżej następnego, trzeba przecież pamiętać o godzinie policyjnej, szłam na znany mi adres. Czasami łącznik nie chciał nikogo widzieć. Dawał mi tylko materiały i wracał z powrotem. Czasami był to taki łącznik, którego należało skontaktować z kimś z komendy okręgu. Po przyjeździe łącznika dawałam o tym natychmiast znać Zosi Dąb-Biernackiej o co chodzi. Jeżeli chodziło o kontakt to już ona tym się zajmowała. Jeżeli chodziło o materiały to przekazywałam je od razu. Materiały były rozmaite, np. walizka wypchana niemieckimi markami, lub dolarami, które ja zabierałam i niosłam. Kiedyś taką ciężką walizkę nieśli mi Niemcy. Musiałam zanieść tą walizkę do dorożki. Było mi ciężko. Zauważyło to dwóch uprzejmych Niemców i pomogło mi ją zanieść do dorożki. Walizka była pełna pieniędzy.

System informacyjny polegający na odpowiednim znakowaniu umówionych wcześniej miejsc działał od zimy 1941/1942r. Okazał się bardzo dobry i niezawodny. Łącznicy nie przyjeżdżali tak często, choć zdarzało się, że przyjeżdżało dwóch w ciągu tygodnia, czasami jeden a nieraz i przez dwa tygodnie nie było nikogo. Nie wiem czy wcześniej do Wilna dochodziła jakaś informacja o planowanym przyjeździe łączników. Raz była straszna wyśpa, ale udało się zawiadomić Warszawę, że adres pod który mógł przybyć kurier jest już "nieczynny". Prawdopodobnie ktoś podpatrzył taki adres, zawiadomił Gestapo, które przeprowadziło rewizję ale nic nie znaleziono. Mieszkańcy zostali aresztowani, ale natym się zakończyło. Jak ja udawałam się do mieszkania do którego przybył łącznik z Warszawy to po drodze był cały system alarmowy. Zastanawiałam się niejednokrotnie jednak wejść czy nie wejść, nigdy z całą pewnością nie było się pewnym, ale tak jakoś szczęśliwie wszystko to trwało. System alarmowy stanowiły umówione wcześniej znaki, które w razie wejścia Gestapo można było z łatwością zmienić. Były to np. kwiat w oknie, odsłonięta firanka, uchylony

lufcik. Ja zwykle robiłam dwa-trzy znaki alarmowe, gdyż Gestapo np. mogło nie pozwolić na uchylenie lufcika. Wtedy można było zrobić ewentualnie inny znak. <sup>to</sup> To było takie moje pierwsze zadanie. Trwało ono dobrych parę miesięcy. Jesienią 1942r. do Wilna z Warszawy przyjechał ppłk. "Ludwik" Lubosław Krzeszowski. Początkowo jeszcze po jego przyjeździe wykonywałam swoją dotychczasową pracę. W pewnym momencie, nie pamiętam już dokładnie kiedy, to się skończyło. Wiosną-latem 1943r. przyjechała specjalna kurierka z Warszawy, z którą przez trzy czy cztery dni ja rozmawiałam na temat zasad łączności terenowej i która mnie instruowała. Później dostałam grupę dziewcząt, to było lato, którą ja z kolei instruowałam. To był już instruktarz zupełnie innego typu, to był instruktarz chodzenia po terenie. Niezbędne była po pierwsze orientacja na mapie, dostałam wtedy cały komplet map Wileńszczyzny. Były to mapy wojskowe, gdzie zaznaczony był każdy mostek. Były to tzw. setki. Instruktarz był dosyć interesujący. Polegał przede wszystkim na tym, że mapy przy sobie mieć nie można. Całej drogi należało się wcześniej nauczyć na pamięć. Obojętne czy była to droga do Głębokiego, czy do Postaw, za Ocznianą, czy pod Mokodeczno. Cała droga musiała być niejako wykuta na pamięć. Możliwości, wsie obok itd. Pamiętam, iż oprócz instruktoru kazano mnie wysyłać łączniczki w teren bez specjalnych zadań /robił to jeszcze Stefan Czernik/, tylko dla orientacji. To było jak gdyby praktyczne szkolenie. Trwało to tylko latem. Nie było to zbyt niebezpieczne. Zawsze była możliwość wymówki, że idzie się po jedzenie, po żywność, do krewnych. W tym czasie piechotą to jeszcze stosunkowo łatwo można się było posuwać na Wileńszczyźnie, gdyż jeszcze nie było partyzanckich oddziałów. [Na jesieni 1942r. miałam już kontakt z "Ludwikiem", który wykorzystywał moją grupę łączniczek /miałam ich pięć - sześć, a potem już kilkanaście/ do zupełnie doraźnych zadań. Trudno mi powiedzieć kiedy zaczęliśmy pracować w <sup>szkoleniu</sup> sztabie "Ludwika". To był chyba początek jesieni 1943r. Jeszcze w połowie 1943r. nie miało to sztywnych schematów organizacyjnych, choć moje łą-



- czniczki chodziły już w teren. Po prostu było wiadomo, że ja mam grupę łączniczek, które były doraźnie wykorzystywane. Chyba od jesieni 1943r. cały sztab zaczął wyglądać inaczej, choć trudno mi powiedzieć od kiedy to było. Pewnego dnia "Ludwik" spotkał mnie ze "Sławem" i wtedy "Sław" powiedział, że będziemy robić cały schemat działania łączności i to musi już funkcjonować jak w zegarku. <sup>nie</sup> Mi podlegała łączność z wszystkimi inspektoratami terenowymi <sup>(A, B, C, D)</sup> i z Kedysem, a potem oddzielnie jeszcze z 6 brygadą, która znajdowała się w dyspozycji szefa sztabu. Od tego czasu podlegająca mi komórka rozbudowała się nieprawdopodobnie. Łącznicy chodzili w tył i w przód, poza tym trzeba było obsługiwać wszystkie skrzyżki. Była to codzienna, codzienna praca. Codziennie na ulicy Lwowskiej w Wilnie w mieszkaniu u pani Dzierżyńskiej /siostry Feliksa Dzierżyńskiego/ spotykał się nasz sztab łączności. W jego skład wchodził "Ludwik", "Sław" - Cetys, pani Dzięwulska - Łosiowa, która była jednocześnie sekretarką "Ludwika" i ja. W mieszkaniu u pani Dzierżyńskiej mieliśmy też rozmaite skrytki na nasze dokumenty. Spotykaliśmy się bardzo wcześnie, gdzieś o siódmej czy o wpół do ósmej rano. Spotkania odbywały się codziennie. Ja przynosiłam pocztę z poprzedniego dnia już posegregowaną, część poczty od razu dawałam "Anielce" Dzięwulskiej, były to np. żądania jakiś dokumentów potrzebnych do załatwienia spraw, czy jakieś papiery do Wojskowych Sądów Specjalnych. To co można było załatwić bez "Ludwika" to się załatwiało bez niego bo i tak dużo spraw musiało przejść przez jego ręce lub przez ręce "Sławka" Cetysa. Myśmy tam siedzieli parę godzin, gdyż spraw do załatwienia było zazwyczaj bardzo dużo. Można powiedzieć, że to co wiązało się z terenem to wszystko przechodziło przez moje ręce. W trakcie spotkania pisało się rozmaite rozporządzenia w odpowiedzi na pisma, albo rozkazy do inspektorów, albo przez inspektorów do formujących się już później oddziałów partyzanckich. Rozkazy które przeznaczone były dla terenu

po zakończeniu spotkania wszystkie zabierałam. Oprócz rozkazów mogły być np. dokumenty które akurat przyszły, które przyniosła ze sobą "Anielka". Wszystko to zabierałam i odpowiednio posegregowane przekazywałam na oddzielnym spotkaniu mojej zastępczyni Bronce Dubielewiczównie. Na przekazywanych jej dokumentach było już zaznaczone gdzie co powinno być rozniesione. Rozkazy, rozporządzenia nie były szyfrowane. Były przeważnie pisane ręcznie na bibułkach. To co miało być szyfrowane zabierała ze sobą Żosiowa -Dziewulska /"Anielka"/ do kancelarii. Od czysu do czasu ważniejsze rozkazy ja również otrzymywałam już zaszyfrowane. Jak wyglądał schemat łączności komendy okręgu z terenem? Rozmańci łącznicy inspektoratów mieli swoje skrzynki na terenie Wilna. Tam zostawiali swoją pocztę. Kilka łączniczek chodziło codziennie na te adresy i zbierały stamtąd pocztę. Zabierając pocztę spotykały się z grupową, która odbierała od nich pocztę, którą do starożyli łącznicy z terenu. Ta grupowa gdzieś około szóstej wieczorem dostarczała mi tą pocztę, którą odebrała od łączniczek. Łączniczka, która zabierała pocztę terenową ze skrzynki znała tylko grupową. Na tym jej kontakt urywał się. Natomiast grupowa była już specjalnie dobranym człowiekiem, który kontaktował się ze mną. Co pewien czas zmieniałam łączniczki by uniknąć wpadki. Potem gdy Niemcy i Litwini coraz bardziej nas obserwowali, gdy było coraz bardziej gorąco wprowadziłam pewną zmianę. Wspomniana grupowa spotykała się po odebraniu poczty terenowej od łączniczek spotykała się jeszcze z inną łączniczką, która dopiero całą otrzymaną pocztę przekazywała następnie mi. Było to podwójne zabezpieczenie. Grupowa nie miała możliwości dojść do mojej bezpośredniej łączniczki. Spotykały się zawsze w umówionych miejscach, które się zmieniały. Zawsze były miejsca 1, 2, 3. Wtedy gdy się spotykały to umawiały się, że są zawsze trzy różne miejsca kolejnego spotkania. Jeżeli nikogo nie było na miejscu pierwszym, to łączniczka szła na drugie miejsce, jeżeli i tu nikogo nie było



to szło się na trzecie miejsce, jeżeli i tu nikogo nie było to na drugi dzień obowiązywały dalej te same trzy miejsca spotkań. Jeżeli wtedy nie doszło do spotkania to było wiadomo, że coś się stało. Szukano wtedy dojścia innymi sposobami i wyjaśnienia sprawy. Miejsca spotkań ciągle ulegały zmianie żeby te same osoby nie były widywane w tych samych miejscach. Ulice, miejsca spotkań dobierało się w ten sposób by były naturalna zarówno dla jednej jak i drugiej łączniczki. W okolicy miała mieszkać matka, ciotka. Łączniczki same się w tym dobrze orientowały, gdyż były dobrze wyszkolone pod tym względem. Spotkań nie robiono w miejscu, które mogłoby zwrócić uwagę osób postronnych. Dość, że poczta dochodziła do mnie. Ostatnia łączniczka, która przekazywała mi pocztę była osobą zaprzyjaźnioną ze mną i z moją siostrą i bywała u mnie w domu. Przez długi czas była to córka pułkownika, nazywała się Dziubińska. Bardzo często już wcześniej do nas przychodziła, nocowała u nas więc teraz jej wizyty nie zwracały niczyjej specjalnej uwagi. Pocztę otrzymywałam około godziny szóstej wieczorem, wtedy dopiero mogłam zacząć ją czytać, segregować i przygotować na jutrzejsze ranne spotkanie z "Ludwikiem" i "Szawem".

Natomiast ja jak dawałam pocztę to były inne skrzynki, inne zupełnie adresy i inne łączniczki. Bronka Dubielewiczówna, która po rannym posiedzeniu odbierała ode mnie pocztę szła następnie na spotkanie ze swoimi łączniczkami, które roznosiły pocztę w inne umówione na miejscu punkty, do których następnie dochodzili kurierzy i łącznicy z inspektoratów i zabierali ją w teren. Taki był schemat codziennego, normalnego funkcjonowania łączności i obiegu poczty. Bardzo często było jednak w ten sposób, że dostawałam rozkaz aby pchnąć od razu łącznika w teren, nie czekać aż przybędzie łącznik z terenu. Tak było dosłownie co parę dni. Łącznik mógł iść w rozmaite miejsca, do rozmaitych inspektoratów, przy czym miejsce postoju inspektora w terenie ulegało zmianie. W takim wypadku dostawałam od "Ludwika" dane gdzie ma iść łącz-

-cznik z Wilna, natychmiast mówiłam Bronce Dubielewiczównie by zorganizowała odpowiedniego łącznika w teren /zawsze były jakieś osoby do dyspozycji/ i najczęściej sama odprawiałam łącznika w pocztą w teren. Mówiłam wcześniej Bronce, że będę tam i tam o oznaczonej godzinie i łącznik na tam przyjść. Były to rozmaite miejsca. Łącznik przychodził już przygotowany do drogi, Bronka informowała go o kierunku w jakim ma się udać, nie mówiła mu dokładnie natomiast o miejscu, czy haśle. W czasie gdy spotykał się ze mną łącznik musiał już na pamięć nauczyć się drogi. Działo się to wszystko naprawdę jak w zegarku. Najczęściej wychodziło się o piątej rano, ze względu na godzinę policyjną, chyba że jeszcze był czas by zajść za Kolonię Wileńską i przenocować to wtedy łącznik wychodził z Wilna jeszcze tego samego dnia po południu. Mieliśmy takie miejsce noclegowe pod samym Wilnem, ale już 15 km dalej. Wszystko zależało od czasu. Łącznik korzystał najczęściej z jakiś samochodów jadących z robotnikami, albo szedł piechotą, bądź jechał na rowerze. Zwykle były to niewielkie odległości 25-30 kilometrów, ale zdarzało się i dalej. Łącznicy byli rozmaici, czasami były to starsze panie, czasami starsi panowie. Dużo było tych łączników. Organizacyjnie oddział piąty /łączności/ przedstawiał się następująco. Była tzw. piątka /V/ -o i V - k. Szefem V - o był Stefan Czernik "Orwat". ~~Była~~ V- o była piątką bojową, była to przede wszystkim sieć radiowa na Londyn i na Warszawę, czyli łączność zewnętrzna i przygotowanie do łączności już podczas akcji, łączności bojowej podczas walki. V-k została po prostu podzielona. Zasadniczo szefem V -k była Zosia Dąb-Biernacka, ale ona zaczęła się zajmować tylko łącznością kurierską z Warszawą, którą ja się przedtem zajmowałam, a potem ta łączność do niej wróciła. Według schematu to ona była szefem całej V-k, ale w praktyce zarówno moja łączność jak i łączność, którą prowadziła pani Łosiowa były wydzielone. Ja pracowałam już bezpośrednio z "Ludwikiem" i ze "Sławem" a nie z Zosią. Tak to wyglądało w praktyce.



-oznik z Wilna, natychmiast mówią Bronce Dubielewiczównie by zorganizowała odpowiedniego łącznika w teren /zawsze były jakieś osoby do dyspozycji/ i najczęściej sama odprawiała łącznika z pocztą w teren. Mówią wcześniej Bronce, że będą tam i tam o oznaczonej godzinie i łącznik ma tam przyjść. Były to rozmaite miejsca. Łącznik przychodził już przygotowany do drogi, Bronka informowała go o kierunku w jakim ma się udać, nie mówiła mu dokładnie natomiast o miejscu, czy hasle. W czasie gdy spotykał się ze mną łącznik musiał już na pamięć nauczyć się drogi. Działo się to wszystko naprawdę jak w zegarku. Najczęściej wychodziło się o piątej rano, ze względu na godzinę policyjną, chyba że jeszcze był czas by zejść na Kolonię Wileńską i przenocować to wtedy łącznik wychodził z Wilna jeszcze tego samego dnia po południu. Mieliśmy takie miejsce noclegowe pod samym Wilnem, ale już 15 km dalej. Wszystko zależało od czasu. Łącznik korzystał najczęściej z jakiś samochodów jadących z robotnikami, albo szedł piechotą, bądź jechał na rowerze. Zwykle były to niewielkie odległości 25-30 kilometrów, ale zdarzało się i dalej. Łącznicy byli rozmaici, czasami były to starsze panie, czasami starsi panowie. Dużo było tych łączników. Organizacyjnie oddział piąty /łączności/ przedstawiał się następująco. Była tzw. piątka /V/ - o i V - k. Szefem V - o był Stefan Czernik "Orwat". ~~Kxxxxx~~ V - o była piątką bojową, była to przede wszystkim sieć radiowa na Londyn i na Warszawę, czyli łączność zewnętrzna i przygotowanie do łączności już podczas akcji, łączności bojowej podczas walki. V - k została po prostu podzielona. Zasadniczo szefem V - k była Zosia Dąb-Biernacka, ale ona zaczęła się zajmować tylko łącznością kurierską z Warszawą, którą ja się przedtem zajmowałam, a potem ta łączność do niej wróciła. Według schematu to ona była szefem całej V - k ale w praktyce zarówno moja łączność jak i łączność, którą prowadziła pani Łosiowa były wydzielone. Ja pracowałam już bezpośrednio z "Ludwikiem" i ze "Sławem" a nie z Zosią. Tak to wyglądało w praktyce.

Oprócz tego funkcjonowały jeszcze skrzynki alarmowe, stanowiące zabezpieczenie na wypadek wpadki skrzynek normalnie używanych. Ponieważ mieszkania w których znajdowały się skrzynki musiały się co pewien czas zmieniać miałam później nawet specjalną komórkę, która zajmowała się tylko wyszukiwaniem mieszkań, które mogłyby stanowić nowe skrzynki na pocztę. Mieszkań było jednak za mało. Wszystkie były zajmowane przez jakąś komórkę. Spowodowane było to znacznym rozrostem konspiracji. Był okropny kłopot ze znalezieniem "czystego" mieszkania. Musiałam mieć parę osób, które zajmowały się wyłącznie wyszukiwaniem takich mieszkań. Miałam również komórkę, która zajmowała się wykonywaniem skrytek konspiracyjnych. Miałam cudowne skrytki. Mieliśmy specjalnego stolarza, który je wykonywał. Nawet gdy przez pięć czy sześć dni jak u mnie w domu siedzieli bolszewicy to nie mogli znaleźć ani jednej skrytki. Jedną ze skrytek moja mama przywiozła po wojnie do Warszawy i nie umiałyśmy jej otworzyć. W skrytkach miałam m.in. cały zestaw map Wileńszczyzny i nikt nigdy ich nie znalazł. To były wspaniałe skrytki. Mimo iż Gestapo było u nas tyle razy w domu to nigdy nie nie znaleźli, tak samo bolszewicy. Poza tym skrytki trzeba było robić dla ludzi, którzy chodzili w teren. Były to najdrobniejsze rzeczy. Czasami dziewczyna mogła mieć zawieszoną drewnianą bransoletkę na rękę, która się specjalnie otwierała, czy koraliki. Czasami ktoś wiozł zabawkę dla dziecka. Potem się stosunki zmieniły. W 1944r. to raczej trzeba było mieć przepustkę dla naszych oddziałów żeby przepuścili łącznika dalej. Nie alibi dla Niemców a dokument dla naszych oddziałów, dlatego że teren był opanowany przez partyzantkę polską. Łącznik mógł być wtedy zatrzymany przez polskich partyzantów, wobec tego on musiał mieć specjalny dokument, że jest łącznikiem komendy okręgu. Był nim malutki kartonik z pseudonimem łącznika i podpisem najczęściej "Sława". Stanowiło to rodzaj legitymacji. Przez cały okres konspiracyjnej działalności używałam pseudonimu "Ewa



Była jeszcze sztafeta, którą ja sama organizowałam to była sztafeta na Lidę. Sztafeta ta zresztą ani razu nie zagrała, ale przyjemnie było ją organizować. Była to sztafeta już na teren okręgu nowogródzkiego AK. Z Nowogródkiem utrzymywaliśmy łączność kurierską w sprawach czysto wojskowych, a nie politycznych, tymi zajmowała się delegatura. O tym co było w tych wszystkich rozkazach, które przechodziły przez moje ręce starałam się jak najszybciej zapomnieć. Pamiętam jak raz miano zlikwidować Babravicziusa, który był pracownikiem litewskiego Gestapo - Saugumy. Z Kedywa przyszedł specjalny meldunek o rozszyfrowaniu i oczekiwaniu na zgodę na wykonanie wyroku na Babravicziusie. Pamiętam to dlatego, że wśród przygotowujących wykonanie wyroku była wymieniona moja siostra. Oczywiście był tylko pseudonim a nie jej nazwisko, ale ja się tego domyślałam. Jak to przeczytałam... Potem gdy z nią rozmawiałam mój domysł okazał się prawdziwy. Więc to mi się utrwaliło. Tak samo pamiętam jak uciekł "Frez". Przez moje ręce przechodziło dokładne sprawozdanie jak to się odbyło. W grupie przygotowującej ucieczkę /grupa "Zeksa"/ też była wymieniona moja siostra. Więc to są takie rzeczy, które się zapamiętywało. Poza tym była jedna, jedyna zasada wyrzucać wszystko z pamięci. To znakomicie funkcjonowało. Człowiek był tak przekonany, że nie powinien pamiętać nic, absolutnie nic.

Wracając do tej sztafety na Lidę. Robiłam to na wiosnę 1944r. Nie zdążyła ona już zagrać, choć pomysł był dobry. Był to chyba marzec, bo pamiętam, że jak szłam to jeszcze był głęboki śnieg. Potem byłam drugi raz na tej sztafecie. Byłam jeszcze w Wielkich Solesznikach. Grało wtedy wszystko dobrze. Była to rezerwowa łączność alarmowa poprzez miejscowości. Każdy miał do przejścia po parę kilometrów. Później nie została ona jednak wykorzystana.

Przed operacją "Ostra Brama" z rozkazem o uderzeniu na Wilno m.in. do drugiego zgrupowania dowodzonego przez "Węgielnego" poszły moje z

łączniczki. Najpierw poszła jedna, później już jak był front to poszły dwie. Obydwie doszły do "Węgielnego". Pierwsza, która poszła z rozkazem o uderzeniu na Wilno jeszcze przed rozpoczęciem operacji "Ostra Brama" chyba nie dotarła do "Węgielnego". Spotkała "Korab" i jemu przekazała rozkaz dla "Węgielnego", a "Korab" schował go chyba do kieszeni. Dwie następne łączniczki do drugiego zgrupowania poszły już w czasie gdy trwały walki o Wilno. Przed "Ostrą Bramą" do "Węgielnego" poszła "Wila". "Węgielny" nie mógł wiedzieć o przyspieszeniu uderzenia na Wilno o jeden dzień. Wiadomość o przyspieszeniu natarcia do moich rąk dotarła na pół godziny przed godziną policyjną, 6 lipca wieczorem. Atak /przyspieszony/ miał być z 6 na 7 lipca. Otóż 6 wieczorem dotarł do mnie list od "Sława" napisany na kartce papieru. List dotarł przez alarmową skrzynkę. Wtedy było jeszcze inaczej, "Sława" był już w terenie i ja miałam specjalną skrzynkę łączności ze "Sławem", taką na szybki kontakt. 6 lipca wieczorem nie mogłam już mieć kontaktu z "Ludwikiem". Nie mogłam go więc poinformować o przyspieszeniu natarcia na Wilno o jeden dzień. Natomiast z listem od "Sława" zdążyłam 6 lipca wieczorem jeszcze pójść do Anieli Dziewulskiej, myśląc, że ona może wiedzieć gdzie dziś nocuje "Ludwik". Słowa listu od "Sława" były tej treści: "Przyspieszamy o jeden dzień. Jutro się zobaczymy". Dziewulska nie porozumiała się tego samego dnia /6 lipca/ z "Ludwikiem" tylko ~~tylko~~ następnego dnia o godzinie 5 rano. Ja zostałam do "Ludwika" wezwana gdzieś o 6 rano. Podczas kiedy walki o Wilno wybuchły już w nocy z 6 na 7 lipca. Na natarcie patrzyliśmy z balkonów. Do mojego domu w nocy na odgłos strzałów przyszła grupa Kedywu chcąc dowiedzieć się co się dzieje. O przyspieszeniu natarcia nie był więc poinformowany "Ludwik". Co gorzej to przyspieszenie natarcia wprowadziło zamieszanie. Trzeba powiedzieć, że jest to wina sztabu, który powinien być wtedy zgrupowany w jednym miejscu, co stało się dopiero nazajutrz. Nie można było znaleźć szefa "Dworu", który poszedł



się pożegnać z żoną/ chodzi o "Skarbka"/."Ludwik" natychmiast kazał mi posłać łącznika do "Węgielnego".W dwa czy trzy dni później posłały kolejne łączniczki szukać "Węgielnego". "Ludwik" zarządził też coś na kształt mobilizacji.Mieliśmy swoje miejsce postoju na ulicy Dominikańskiej.Ja zmobilizowałam podległe mi łączniczki, które znajdowały się niedaleko od nas.Rzeczywiście były one później w ruchu.Były wysyłane np. do "Wilka" przez linię frontu.Zadziwiające, że były wysłane oddzielnie trzy łączniczki do "Wilka" i wszystkie doszły.Doszły również te, które były wysłane do Węgielnego".Był to już szczęście, bo przejść wcale nie było łatwo.

Po aresztowaniu "Wilka", rozbrojeniu brygad partyzanckich nowym komendantem okręgu wileńskiego AK został Kulikowski, który można w zasadzie powiedzieć uzurpował sobie to prawo, gdyż na komendanta przewidziany był Tomasz Heilman, który był w tym czasie w Wilnie nieobecny.Wrócił on z Warszawy dzień po tym jak Kulikowski objął stanowisko komendanta.Heilman nie chciał więc już w to ingerować.Wszystko poszło w rozsypkę. Zosia Mąb-Biernacka musiała się z miejsca ukrywać, wobec tego zaczęła bardzo szybko przekazywać całą V -k.Poza tym w bardzo szybkim czasie został aresztowany Stefan Czernik /szef łączności/ i jego zastępcę Jas Stankowski.Wobec tego ich miejsce zajął "Tulipan" /nieznam nazwiska tego oficera/ który był cichociemnym i bardzo mało orientował się w stosunkach wileńskich/.Siłą rzeczy ja musiałam z nim współdziałać.Trzeba było nawiązać łączność z Warszawą. Jedna radiostacja po drugiej nam wpadały.Prawdopodobnie jeden z radiowców był wtyczką sowiecką.Pracował już u nas za czasów niemieckich a za czasów sowieckich zaczął sypać.Nie pamiętam już jego pseudonimu czy nazwiska.Montowałam również jak najszybciej łączność do przejścia przez Niemen, żeby wysłać najbardziej zagrożonych ludzi na teren Polski centralnej.Od "Tomasza" otrzymałam zadanie organizacji przerzutu najbardziej zagrożonych na zachód.Łącznicy chodzili rąbiąc taką ssta-

fetę , podając sobie ludzi zagrożonych niejako z rąk do rąk. Udało mi się zrobić taką sztafetę i ona zagrała. Cały szereg osób przeszło w ten sposób na drugą stronę. Przerzutów dokonywano w grupach 4-5 osobowych. Byli to najczęściej chłopcy z oddziałów partyzanckich. To była jedna rzecz, a druga to była łączność z terenem , która jeszcze funkcjonowała, miała jeszcze stare kontakty. Należało tych chłopców, którzy spontanicznie poszli do oddziałów partyzanckich namawiać aby schowania broni i do przechodzenia na zachód. Ponieważ orientowaliśmy się, że będą oni po prostu rozstrzeliwani. Początkowo Kulikowski wydał wprost przeciwnie nonsensowny rozkaz zabijania komunistów, walki i trwania dalej. "Tomasz" się temu bardzo ostro przeciwstawił. Likwidacja oddziałów partyzanckich rozpoczęła się gdzieś w sierpniu 1944r. Przychodziło to bardzo trudne. Gdyż chłopcy z lasu wcale nie chcieli się ich zaprosować. Uważali, że nasze rozkazy są nieskuteczne. Oni nie chcieli trwać dalej w terenie.

Z działającymi w terenie oddziałami partyzanckimi mieliśmy łączność, choć były one w ciągłym ruchu. Wykorzystując stare kontakty, stare przejścia udawało się do nich docierać. Łącznicy, którzy chodzili w teren mieli już w terenie swoje kontakty i ja te kontakty przez nich wykorzystywałam. Wszystko to trwało bardzo krótko, bo już we wrześniu mnie aresztowano. /8 września/. Wpadłam w Wilnie w "kocioł" w mieszkaniu. Początkowo nie wiadano kto ja jestem. Trafiałam do więzienia na ul. Ofiarnej w Wilnie. Przesłuchanie. Potem ktoś coś o mnie powiedział. Wiedziano więc kim ja jestem. W więzieniu miałam dwie tzw. "oczne stawki" z "Wilkiem" a potem z "Ludwikiem". Związane było to z całą "grą" podjętą z NKGB. Początkowo "Wilk" wraz z "Ludwikiem" chcieli żebym to ja za zgodą NKGB opuściła więzienie, nawiązała kontakt z istniejącymi jeszcze w Wilnie komórkami konspiracyjnymi i powiedzieć im, że nie dalsza walka nie ma najmniejszego sensu. Wynikało to stąd, że miałam całą łączność w ręku, więc najłatwiej byłoby mi dojść do wszystkich

chyba 1944?

Lukier

Przyjechał Tomasz z Lidy.



ludzi. W czasie rozmowy z "Wilkiem" na ten temat powiedziałam mu, że nie wyobrażam sobie jak mam wykonać tą misję, gdyż z pewnością będę śledzona. Rozmowę prowadziliśmy przy kilkunastu oficerach sowieckiego bezpieczeństwa. "Wilk" udawał że mnie nie zna podobnie czyniłam i ja. Rozmowa było więc śmieszna. Było to jakieś osiem dni po moim aresztowaniu a więc około 16 września 1944r. Ja mówiłam, że nikogo z podziemia nie znam, do nikogo nie trafię, a poza tym to się boję. Przyskuchujący się naszej rozmowie oficerowie bezpieczeństwa śmiali się z tego. <sup>gen.</sup> Siedział tam narkom Litwy Guzaviczius, jego zastępca <sup>(gdy nie było sprawował)</sup> płk. Rudakov. <sup>(był NKGB na polski)</sup> Miedzy oficerami siedział też Sierow, nie nosił żadnych pagonów tak że wtedy nie zwróciłam nawet na niego uwagi, dopiero zwrócił on moją uwagę następnego dnia bo inni oficerowie odnosili się do niego z wielkim szacunkiem. Wtedy powiedziano mi, że to jest gen. ~~Sierow~~ Iwanow. Nazajutrz miałam takie samo spotkanie z "Ludwikiem". Gdy ~~weszłam~~ wszedłam do pokoju "Ludwik" wstał i pocałował mnie. Była to już pełna dekonspiracja. Choć podobno już wcześniej już ktoś mnie zdekonspirował, <sup>(jedną z tych osób między innymi)</sup> o moim aresztowaniu "Ludwik" dowiedział się od śledczych. Na wysłanie mnie w celu skontaktowania się z kospiracją nalegał "Ludwik". Miałam otrzymać list podpisany przez "Wilka" i "Ludwika", a skierowany do "Witolda" - Kulikowskiego. Mnie udało się powiedzieć "Ludwikowi", że wrócił "Tomasz". Treść miała być taka, żeby zaprzestać dalszych walk ze strony AK, gdyż w obecnej sytuacji to nie ma sensu a tylko utrudni rozgrywki polityczne po skończeniu wojny. Nie wolno walczyć z sojusznikiem sojusznika. Choć był to pretekst <sup>do</sup> został wykorzystany. Sytuacja była ciężka. Powiedziałam, że takie wyjście z więzienia <sup>- w oczach Niemców</sup> jest dla mnie rzeczą nieprzyjemną. Napewno będę śledzona. Spotkam się z wielką nieufnością. Nikt nie będzie chciał ze mną rozmawiać. Nie wyrażałam chęci, stanęło na tym, że ja się zastanowię. <sup>po</sup> Później na szczucie już o tym ze mną nie rozmawiano. Przypuszczam, że Rosjanie uznali, że poradzą sobie sami terrorem.

"Wilk" był młody  
połowy...

Była w tym  
pewna polityka  
Wtedy miała  
mnie posłuchać.

Pamiętam  
próbowali ją  
zabijać  
sytuacja  
była

Bo wyjście z więzienia jest dla mnie rzeczą nieprzyjemną i niebezpieczną

To był kwestia i Rosjanie, którzy  
chcieli się nie upodobać i wiedzieć  
że Niemcy to zdają. Próbali być  
potrzebni

Włosa „Jaremu” - nie prowadzi - 19 - *nie chciał z nim rozmawiać*

Rozpoczęło się natomiast regularne śledztwo. Trwało ono długo, gdzieś

~~xxxxxx~~. w maju 1945r. zostałam przeniesiona do więzienia

na Łukiszkach w Wilnie. W sierpniu 1945r. byłam sądzona w grupie ~~sta-~~

bowej, razem z Kulikowskim, <sup>Tomanem</sup> Heilmanem, Urbankiewiczem z Kedywu,

Kiażką. Dostałam wyrok 10 lat. Po wyroku byłam jeszcze przez pewien

czas na Łukiszkach, a potem pojechałam już do obozu.

W grudniu 1955r. przyjechałam do Polski.

*Nagrat*

Spisał Krzysztof Tarka.